

Klasyka literatury dziecięcej



FRANCES HODGSON BURNETT

MAŁA KSIĘŻNICZKA



Klasyka literatury dziecięcej

FRANCES HODGSON BURNETT

MAŁA KSIĘŻNICZKA

Sara

W pewien mroczny dzień zimy, gdy ulice Londynu zaległa żółta mgła, tak gęsta i ciężka, że w mieszkaniach pozapalano światła, a okna sklepowe oświetlone były, jak w nocy, lampami gazowymi, głównymi ulicami miasta wlokła się z wolna dorożka, w której jechała mała dziewczynka ze swym tatusem.

Siedziała, podwinawszy pod siebie nóżki, oparłszy się o ramię ojca i wielkimi oczyma o dziwnym, jakby niedziecięcym spojrzeniu, przyglądała się przez szybę przechodniom.

Po jej małej twarzyczce nikt by się nie spodziewał takiego spojrzenia. Było to spojrzenie dziewczynki dwunastoletniej, a Sara Crewe miała dopiero lat siedem. Mimo to – rzecz uderzająca – zawsze marzyła i dumiała o dziwnych jakichś rzeczach i nie mogła sobie przypomnieć takiego czasu, by nie rozmyślała o ludziach dorosłych i o świecie, do którego oni należą. Zdawało się jej, że już przeżyła długi, długi czas na tym świecie.

W chwili, o której mówimy, przypominała sobie podróż, odbytą niedawno wraz z ojcem, kapitanem Crewe. Myślała o wielkim okręcie, który ją wiozł z Bombaju, o laskarach¹, przechadzających się po nim w milczeniu, o dzieciach, bawiących się na rozgrzanym pokładzie i o kilku młodych paniach, żonach oficerów, które wciągały ją w rozmowę i śmiały się z różnych jej powiedzeń.

Najwięcej zastanawiała się nad tym, jak to dziwnie plotą się ludzkie sprawy – gdy ktoś najpierw przebywał pod skwarnym niebem Indii, następnie znalazł się pośrodku oceanu, a wreszcie jechał w dziwnym

1 laskar – marynarz indyjski.

jakimś powozie przez cudaczne ulice, gdzie w dzień było tak ciemno, jak w nocy. Wydało się jej to tak zagadkowe i intrygujące, że przysunawszy się do ojca odezwała się do niego cichym, tajemniczym głosem:

– Tatusiu! Tatusiu!

– Czego sobie życzysz, kochanie? – odpowiedział kapitan Crewe, przytulając ją mocniej do siebie i przyglądając się uważnie jej twarzy. – O czymże to rozmyśla moja Sara?

– Czy to już to miejsce, tatusiu? – szepnęła Sara, przytulając się do niego jeszcze bardziej.

– Tak, moja mała, właśnie to miejsce. Dojechalśmy do niego nareszcie – odpowiedział ojciec, a choć Sara miała dopiero lat siedem, wyczuła smutek w tej odpowiedzi.

Miała wrażenie, że wiele lat upłynęło, odkąd zaczęła się oswajać z myślą o miejscu, jak zawsze nazywała Londyn. Sara straciła matkę zaraz po swym urodzeniu, więc nie pamiętała jej wcale i nie tęskniła za nią. Młody, przystojny, bogaty, a pieszczący się wciąż z nią ojczulek wystarczał jej za całą rodzinę. Bawili się zawsze razem i kochali się ogromnie. Wiedziała o nim, że jest bogaty, ponieważ słyszała, jak wyrażano się o nim w ten sposób, gdy myślano, iż ona tego nie słyszy; słyszała też, jak mówiono, że i ona będzie bogata, gdy podróżnie – nie rozumiała jednak, co to znaczy być bogatym. Mieszkała zawsze w pięknym bungalow² i nawykła widzieć liczną służbę, która nazywała ją *Missee Sahib*³, składała przed nią *salaamy*⁴ i ustępowała jej we wszystkim. Miała dużo zabawek i zwierzątek oraz starą *ayah*⁵, która ją ubóstwiała. Sara z wolna sobie uświadomiła, że wszystko to posiadać muszą ludzie bogaci – poza tym jednak nie wiedziała więcej.

2 bungalow – drewniany dom z werandami.

3 Sahib – pan, władca; tytuł grzecznościowy wobec białych zarządców w koloniach.

4 salaam – tu w znaczeniu: ceremonialne powitanie.

5 ayah – służąca, opiekunka pracująca dla Europejczyków w Indiach.

Jedna tylko rzecz niepokoiła ją w ciągu krótkiego jej życia – a mianowicie owo miejsce, do którego kiedyś miała się przenieść. Klimat Indii jest bardzo niezdrowy dla dzieci Europejczyków, przeto rodzice starają się wyprawić je stamtąd jak najprędzej – zazwyczaj do szkół w macierzystej Anglii. Sara widywała już odjazd innych dzieci i słyszała, jak ich rodzice rozmawiali o listach, jakie od nich otrzymywali. Wiedziała, że sama też będzie musiała wyjechać – a choć pociągały ją opowiadania ojca o podróży i o nowym kraju, jednakże trapiła się myślą, że ojczulek nie będzie mógł przebywać i z nią razem.

– A czy nie mógłbyś i ty pojechać ze mną do tego miejsca, tatu-siu? – zapytała raz, gdy liczyła sobie pięć latek. – Czy nie mógłbyś i ty chodzić do szkoły? Ja bym ci pomogła w odrabianiu lekcji.

– Ależ nie zabawisz tam długo, córuchno – pocieszał ją ojciec. – Zamieszkasz w pięknym domu, gdzie będzie dużo małych dziewczynek i będziesz się z nimi bawiła, a ja ci będę przysyłał mnóstwo różnych książek... i urośniesz tak prędko, iż niczym rok jeden zbiegnie ci ten cały czas, nim będziesz na tyle duża i mądra, że potrafiśz wrócić do tatusia i zaopiekować się nim na stałe.

Lubiła myśleć o tych projektach. Kierownictwo spraw domowych w zastępstwie ojca – przejażdżka konna i siadywanie na pierwszym miejscu podczas proszonych kolacji – rozmowy z ojcem i czytanie jego książek – wszystko to wydawało się jej czymś wprost wymarzonem, więc zdawała sobie sprawę z tego, że za cenę osiągnięcia tego szczęścia warto i godzi się pojechać nawet do owego miejsca w Anglii. Na towarzystwie małych dziewczynek bynajmniej jej nie zależało, ale obiecane mnóstwo książek byłoby dla niej prawdziwą osłodą doli. Książki bowiem lubiła nad wszystko w świecie i rozczytywała się w nich zawzięcie; pod wpływem tej lektury układała opowiadki o różnych pięknych rzeczach i opowiadała je samej sobie – a czasami i ojcu, który również znajdował w nich wielkie upodobanie.

– Tak, tatusiu – odezwała się potulnie. – Skorośmy się tu znaleźli, sądzę, że powinniśmy pogodzić się z losem.

Roześmiał się, ubawiony tym poważnym sposobem jej przemawiania, i ucałował ją serdecznie. Mała, tak w postępowaniu swym

dziwna Sara, była dlań ważną, nieodzowną towarzyszką; zdawał sobie więc sprawę z tego, że będzie bardzo markotny i osamotniony, gdy powróciwszy do Indii i wszedłszy do bungalowu, nie zastanie w nim małej osóбки w białej sukience. Przeto przycisnął ją silniej do serca, gdy dorożka wtoczyła się na duży, posepny plac, gdzie wznosił się dom, będący celem ich podróży.

Była to olbrzymia, posepna kamienica z czerwonej cegły, zupełnie podobna do innych, stojących w jednym rzędzie z nią, z tą tylko różnicą, że na jej bramie widniała mosiężna tablica z wyrytym czarnym napisem:

Miss Minchin
wzorowy pensjonat dla panienek

– Jesteśmy już na miejscu, Saro – odezwał się kapitan Crewe, starając się nadać głosowi jak najweselsze brzmienie. Wysadził ją z dorożki, po czym weszli na schodki i zadzwonili do bramy.

Później Sarze niejednokrotnie przychodziło na myśl, że ta kamienica była jakoś bardzo podobna do miss Minchin. Była dostojna i porządnie umeblowana, lecz wszystko w niej było brzydkie – a nawet fotele wydawały się jakby kościste. W hallu wszystko było twarde i wypolerowane – nawet czerwona pucółowata twarz księżycowa, stanowiąca cyferblat⁶ wysokiego zegara stojącego w kącie, miała wyraz sztywny, nazbyt gładki. Salon, do którego ich wprowadzono, zaślany był dywanem w czworokątny deseń, krzesła były kanciaste, a na ciężkim marmurowym gzymsie stał ciężki marmurowy zegar.

Gdy zasiedli na jednym z tych kanciastych, mahoniowych krzeseł, Sara rozejrzała się szybko wokoło.

– Nie lubię tego wszystkiego, tatusiu – odezwała się. – Ale przecie i żołnierze, choćby najdzielniejsi, nie lubią iść do bitwy.

Kapitan się roześmiał. Był młody i lubił żarty, a dziwnych gawęd Sary mógł słuchać bez końca.

6 cyferblat – tarcza zegara.

– Tak, moja mała – powiedział. – Cóż pocznę z sobą, gdy nie będzie miał kto przemawiać do mnie tak poważnie?

– Ale czemu te poważne rzeczy pobudzają cię do śmiechu? – zapytała Sara.

– Bo jesteś taka zabawna, kiedy o nich mówisz – odpowiedział, śmiejąc się jeszcze bardziej. Naraz przestał się śmiać, przygarnął ją ramieniem i ucałował, a w oku jakby łza mu się zakłęciła.

W tejże chwili weszła miss Minchin – osoba wysoka, posępna, dostojna i brzydka, jak własna jej kamienica. Miała szerokie, chłodne, rybnie oczy i takież uśmiech, który rozszerzył się jeszcze bardziej, gdy ujrzała Sarę i jej ojca. O młodym oficerze słyszała bardzo dużo dobrego od pani, która rekomendowała mu jej szkołę; między innymi słyszała, że był bogaty i że gotów był nie żałować pieniędzy na kształcenie swej córki.

– Miło mi będzie roztaczać opiekę nad tak ładną i obiecującą dziewczynką, panie kapitanie – odezwała się, głaszcząc rękę Sary. – Pani Meredith bardzo ją chwaliła. Grzeczna i mądra dziewczynka to dla mnie skarb nie lada.

Sara stała spokojnie, utkwivszy oczy w twarzy miss Minchin, i myślała znów o czymś dziwnym.

„Czemu ona nazwała mnie ładną? Nie jestem wcale ładna. Taka Belcia, córka pułkownika Grange, ma dolki w buzi, różowe policzki i długie złociste włosy. Ja mam krótkie czarne włoski i zielone oczy, przy tym jestem chuda i wcale nie powabna. Jestem jedną z najbrzydszych dziewczynek na świecie”.

Myliła się jednak Sara, wydając taki sąd o swej urodzie. Wprawdzie nie była zgoła podobna do Izabeli Grange, słynnej w całym pułku ze swej piękności, w każdym razie miała w sobie wiele dziwnego uroku. Była osobką smukłą, zgrabną, jak na swój wiek dość wysoka; twarzyczkę miała bystrą i miłą, włosy gęste, krucze, sfalowane nad samym czołem; duże, przedziwne jej oczy przysłonięte były długimi czarnymi rzęsami, a choć ich szarozielony kolor nie był w guście jej samej, jednakże podobał się wielu ludziom. Mimo wszystko uważała się za brzydką i pochlebne słowa nie zawróciły jej w głowę.

„Jestem tak brzydka, jak i ona... choć na inny sposób. Czemu ona tak się o mnie wyraża?”

Z czasem, poznawszy bliżej miss Minchin, dowiedziała się, czemu tak się o niej wyraziła. W ten sam sposób przemawiała do każdego ojca i każdej matki, którzy przyprowadzili dziecko do jej szkoły.

Przyczyną umieszczenia Sary w zakładzie miss Minchin było to, że tutaj wychowały się w swoim czasie dwie córki lady Meredith, której rozsądkowi i doświadczeniu kapitan Crewe ufał bezgranicznie. Sara miała cieszyć się tu szczególnymi przywilejami, jakich nie doznawały inne pensjonarki. Miała dostać dla siebie oddzielną sypialnię i gabinecik, własnego kucyka i powozik oraz dziewczynę, przeznaczoną do jej osobistych posług, na miejsce ayah, czyli tubylczej piastunki, która usługiwała jej w Indiach.

– Nie mam najmniejszych obaw co do jej wychowania – mówił kapitan Crewe, z wesołym uśmiechem, głaszcząc rękę Sary. – Cała trudność w tym, by nie pozwolić jej przemęczać się nauką. Dziewczynisko wciąż tylko siedzi z noskiem wetkniętym w książki; ona ich nie czyta, ale wprost pożera... i nigdy nie może się nimi nasycić. Wciąż się rwie do książek dla dorosłych... do grubych tomów w języku francuskim, niemieckim czy angielskim... do historii, życiorysów i dzieł poetyckich. Proszę więc ją odrywać od książek, gdy zmęczy się czytaniem. Niech wtedy pojeździ sobie na kucyku... albo niech wyjdzie na miasto, by kupić sobie nową lalkę. Ona powinna więcej bawić się lalkami.

– Tatusiu – odezwała się Sara – gdybym co parę dni kupowała sobie nową lalkę, prędko by mi się wszystkie znudziły. Z lalkami powinno się żyć w zażyłej przyjaźni. Moją serdeczną przyjaciółką będzie Emilka.

Kapitan Crewe i miss Minchin spojrzeli bacznie na siebie.

– Któż jest ta Emilka? – zapytała miss Minchin.

– Opowiedz nam, Saro – wezwał ją ojciec z uśmiechem.

W zielonych oczkach Sary widniał wyraz wielkiej powagi i spokoju, gdy odpowiadała:

– To lalka, której jeszcze nie dostałam, a którą tatuś dopiero mi kupi. Pójdziemy razem, żeby ją kupić. Dałam jej imię Emilki... a gdy tatuś odjedzie, będę miała w niej przyjaciółkę... i będę jej opowiadała o tatusiu.

Szeroki, rybi uśmiech miss Minchin znamionował w tej chwili naprawdę wielką przychyłność:

– Jakież to niezwykle dziecko! – odezwała się. – Jakież to przemile małeństwo!

– Tak – potwierdził kapitan Crewe, przyciskając Sarę do serca. – Przemile małeństwo. Proszę opiekować się nią gorąco, miss Minchin.

Przez kilka dni następnych – aż do czasu, gdy ojciec wyruszył w podróż powrotną do Indii – Sara mieszkała wraz z nim w hotelu. Zwiedzając miasto, wstępowali razem do dużych sklepów i kupowali najrozmaitsze rzeczy; nie wszystkie z nich były Sarze potrzebne, to prawda, ale kapitan Crewe był człowiekiem młodym i prędkim, a córkę kochał ogromnie, więc pragnął, by miała wszystko, co tylko jej się podobało i co podobało się jemu samemu. W ten sposób wspólnymi siłami zgromadzili zapas odzieży, aż nazbyt wytwornej jak na siedmioletnie dziecko. Były tam aksamitne sukienki, bramowane drogimi futerkami, sukienki haftowane i naszywane koronkami, kapelusze z wielkimi, puszystymi piórami strusimi, gronostajowe mufki i kołnierze, oraz pudełka pełne takiej ilości chusteczek do nosa, rękawiczek i jedwabnych pończoch, iż panienki sklepowe szeptały sobie w ucho, że ta dziwna dziewczyneczka o wielkich poważnych oczach musi być co najmniej zagraniczną księżniczką – może córką jakiego radży indyjskiego.

Wiele sklepów obeszli i przyjrzeni się wielu lalkom, dużym i małym, czarnookim i niebieskookim, ubranym i nie ubranym, zanim wreszcie znaleźli Emilkę.

– Ona musi być inna od innych lalek – mówiła Sara. – Musi przede wszystkim patrzeć inaczej, tak, jak gdyby słuchała tego, co ja do niej mówię. A u żadnej z lalek nie spotkałam takiego spojrzenia.

Po wielu nieudanych próbach postanowili iść pieszo i przyglądać się kolejno wszystkim wystawom sklepowym, rozkazawszy woźnicy

jechać krok w krok za nimi. Minęli ze trzy składy zabawek, nawet nie zachodząc do środka i już dochodzili do niewielkiego, bynajmniej nierzucającego się w oczy sklepiu, gdy Sara nagle wzdygnęła się i ścisnęła mocno ramię ojca.

– Tatusiu! – zawołała. – To Emilka!

Rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę, a w zieloniutkich oczętach miała taki wyraz, jak gdyby spostrzegła znajomą sobie dobrze i serdeczną przyjaciółkę.

– Właśnie tu na nas czekała! – rzekła. – Chodźmy do niej.

– Wiesz co, moja droga – odrzekł ojciec – mam wrażenie, że ktoś powinien nas jej przedstawić.

– Dobrze! Ty przedstawisz mnie, a ja ciebie – rzekła Sara. – Ale ja ją poznałam od razu, ledwo ją ujrzałam... więc może i ona mnie poznała.

I bardzo możliwe, że Emilka ją poznała; w każdym razie miała w oczach wyraz bardzo mądry, gdy Sara wzięła ją na ręce. Była to lalka dużych rozmiarów, lecz nie tak duża, by nie można jej było nosić na rękach; miała prawdziwe włoski, spływające dokoła niej falą złocistokasztanowych kędziorków, a nad jasnymi, siwymi oczkami kreśliły się dwa łuki gęstych rzęs, nie malowanych farbą, lecz prawdziwych.

– Tak jest – mówiła Sara, trzymając ją na kolanach i przyglądając się jej twarzy – tak jest, to Emilka!

Kupili więc Emilkę i natychmiast udali się z nią do sklepu z konfekcją dziecięcą, gdzie przymierzano dla niej ubranka tak wspaniałe, jakie miała Sara. Dostała więc sukienki koronkowe, aksamitne i muślinowe, chusteczki do nosa, futerka.

– Jej będzie u mnie tak dobrze, jak dziecku u kochającej mamusi – mówiła Sara. – Ja jestem jej mamusią, ale poza tym będę ją uważała i za przyjaciółkę.

Kapitan Crewe byłby się czuł również uradowany tymi sprawunkami, gdyby nie dręczyła go smutna myśl, że wkrótce rozłączy się ze swą najukochańszą, a tak w usposobieniu niezwykłą małą towarzyszką.

W tę noc wstał z łóżka i podszedłszy do córki, śpiącej z Emilką w objęciach, długo się jej przyglądał. Czarne jej włoski rozsypały się po poduszce, mieszając się ze złocistokasztanowymi kędziorkami Emilki. Obie ubrane były w obszywane koronkami koszulki nocne – i miały długie rzęsy, sięgające policzków. Emilka do tego stopnia wyglądała na prawdziwe dziecko, że kapitan Crewe czuł się bardzo uradowany jej obecnością. Westchnął i pokręcił wąsa.

– Ej, mała córeczko! – szepnął. – Ty pewno nie wiesz, jak smutno będzie tatusiowi bez ciebie!

Rankiem zawiózł ją do pensjonatu panny Minchin i już ją tam pozostawił, bo nazajutrz miał odjechać. Oznajmił miss Minchin, że wszelkie rachunki regulować będą jego plenipotenci⁷, panowie Barrow i Skipworth, do których też należy się zwracać po wszelkie potrzebne informacje. Zalecił, by spełniano każdą prośbę Sary i obiecał pisywać do niej dwa razy w tygodniu.

Następnie udał się z Sarą do małego pokoiku gościnnego i pożegnali się z sobą serdecznie. Sara usiadła mu na kolanach i ujawniła rączkami brzeg jego surduta, patrzyła w oczy ojca długo i przenikliwie.

– Czy chcesz zapamiętać sobie, jak wyglądam? – zapytał, gładząc jej włoski.

– Nie – odpowiedziała. – Ja przecież wszystko pamiętam. Mam ciebie całego w moim serduszku.

Objęli się ramionami i całowali tak gorąco, jak gdyby nie chcieli dopuścić do rozstania.

Gdy ojciec wsiadł do dorożki, Sara siadła na podłodze swego pokoiku i podparłszy główkę rękoma, patrzyła za odjeżdżającym, póki nie znikł za rogiem placu. Emilka siedziała obok niej i również wpatrywała się w dorożkę. Gdy nadeszła miss Amelia, siostra przełożonej, chcąc – z jej rozkazu – dowiedzieć się, co się dzieje z dziewczynką, znalazła drzwi na klucz zamknięte.

7 plenipotent – pełnomocnik, przedstawiciel.

– Zamknęłam je umyślnie – odezwał się grzeczny, ale dziwny w brzmieniu głosik od wewnątrz. – Bardzo bym sobie życzyła zostać sama.

Miss Amelia była to osoba gruba i przysadzista, a wielce zahukana przez siostrę. Miała lepsze od niej serce, jednakże nigdy nie śmiała się sprzeciwić jej woli. Zeszła na dół, ogromnie zaniepokojona.

– Nigdy jeszcze nie widziałam tak śmiesznego, wprost nie po dziecięcemu usposobionego dziecka, siostruniu. Zamknęła się w pokoju i siedzi w nim cicho, jak trusia.

– Wolę to, niż żeby tupać nogami i krzyczała, jak to niektóre z nich umieją! – odpowiedziała miss Minchin. – Myślałam, że dziecko tak rozpieszczone, jak ona, podniesie wrzask na cały pensjonat. Bo też nie widziałam, by komu tak dogadzano, jak jej.

– Pomagałam jej w otwieraniu i rozpakowywaniu kufrów – ozwała się miss Amelia. – Czegoś podobnego nigdy nie widziałam. Sobole... gronostaje... walansjeńskie koronki. Niektóre suknie już widziałas. I cóż ty sądzisz o tym wszystkim?

– Sądzę, że to wszystko jest mocno śmieszne – odpowiedziała miss Minchin. – W każdym razie będzie się w tym ładnie prezentowała na czele szeregu, gdy w niedzielę zaprowadzimy dziewczynki do kościoła. Zaopatrzono ją we wszystko, jak małą księżniczkę.

W zamkniętym pokoiku na górze Sara wraz z Emilką siedziały na podłodze i wpatrywały się w róg ulicy, za którym zniknęła dorożka. Kapitan Crewe jeszcze przez pewien czas oglądał się za siebie, machał ręką i przesyłał całusy, choć już nie widział swej córki.

Lekcja francuskiego

Gdy rankiem następnego dnia Sara weszła do sali szkolnej, wszystko co żyło, jęło się jej przyglądać otwartymi szeroko, pełnymi ciekawości oczyma. Wszystkie uczennice – począwszy od Lawinii Herbert, która miała lat trzynaście i uważała się za dorosłą, a skończywszy na Lotie Legh, która dopiero doszła do czterech latek i była beniaminkiem szkoły – nasłuchiwały się już wielu wieści o nowo przybyłej. Wiedziały – i to z całą pewnością – że jest to uczennica, którą miss Minchin pragnie się popisywać i po której spodziewa się wielkich korzyści dla swego zakładu. Kilka dziewczynek widziało nawet daną jej do posługi dziewczynę, Francuzkę Mariettę, która przybyła poprzedniego wieczoru. Lawinia przechodziła koło pokoju Sary i przez otwarte jego drzwi widziała, jak Mariette rozpakowywała paczkę, nadesłaną późnym wieczorem ze sklepu.

– Było w niej pełno spódniczek, naszywanych suto koronkami – szeptała w ucho swej koleżanki Jessie, schylonej nad podręcznikiem geografii. – Słyszałam, jak miss Minchin mówiła do miss Amelii, że to aż śmieszne – stroić tak małą dziewczynkę. Moja mamusia zawsze mówi, że dzieci powinny się ubierać skromnie. Jedną z tych spódniczek ma teraz na sobie; widziałam, gdy siadała.

– Ona ma jedwabne pończochy – szepnęła Jessie. – A jakie małe nóżki! Nigdy nie widziałam tak małych nóżek.

– Phi! – odęła się Lawinia. – To tylko fason jej bucików. Moja mamusia zawsze mówi, że nawet duże nogi mogą się wydawać małe, jeżeli szewc jest zręczny. Mnie się ona nie wydaje ładna. Jej oczy mają tak dziwny kolor.

– Ona nie jest ładna, jak to nieraz bywają ładne dziewczynki – odpowiedziała Jessie, rzucając ukradkowe spojrzenie na salę. – Ale jest w niej coś takiego, co ludzi pociąga. Ma rzęsy straszliwie długie, a oczy prawie zielone.

Tymczasem Sara siedziała spokojnie, czekając, aż jej oznajmią, co ma robić. Dano jej miejsce w pobliżu stolika miss Minchin. Utkwione w nią liczne spojrzenia bynajmniej nie zbiły jej z tropu. Była wszystkim zaciekawiona, więc z całym spokojem patrzyła także na dziewczynki, które jej się przyglądały; zastanawiała się, o czym też one myślą – czy lubią miss Minchin, czy interesują się lekcjami i czy która z nich ma takiego tatusia, jak ona. O tym tatusiu miała dziś rankiem dłuższą rozmowę z Emilką.

– On teraz płynie po morzu, Emilko – mówiła do niej. – Teraz my dwie powinniśmy serdecznie się przyjaźnić i opowiadać sobie różne rzeczy. Patrz na mnie, Emilko. Oczki masz prześliczne... o, gdybyś jeszcze umiała mówić!

Jednym z fantastycznych urojeń, do których Sara taką żywiła skłonność, było owo ukojenie, jakiego doznawała, łudząc się, że Emilka żyje, a tym samym słyszy i rozumie wszystkie jej słowa. Toteż gdy Mariette ubrała ją w granatowy mundur szkolny i przewiązała jej włosy granatową wstążką, dziewczynka natychmiast podeszła do Emilki, usadowionej na krzeselku, i podała jej książkę.

– Możesz to czytać, póki nie wrócę ze szkoły.

Widząc zaś, że Mariette spogląda na nią z zaciekawieniem, wyjaśniła poważnie:

– Ja wierzę, że lalki potrafią wykonać wiele rzeczy, tylko nie dają tego poznać po sobie. Jest rzeczą bardzo możliwą, że Emilka umie czytać, mówić i chodzić... ale robi to tylko wtedy, gdy ludzie wyjdą z pokoju. Jest to jej tajemnica. Gdyby ludzie wiedzieli, że lalki potrafią wykonywać różne czynności, zaraz by zaprzęgli je do roboty; dlatego to one zapewne zobowiązały się nawzajem do sekretu. Póki będziesz w pokoju, Emilka będzie siedzieć spokojnie i patrzeć się przed siebie; ale gdy wyjdiesz, ona na pewno zacznie czytać albo podejdzie do okna i będzie patrzyła na ulicę; skoro jednak posłyszysz czyjeś kroki,

pobiegnie czym prędzej z powrotem na dawne miejsce i będzie udawała, że siedziała tam przez czas cały.

– *Comme elle est drôle!*⁸ – rzekła do siebie Mariette i zszedłszy na dół, opowiedziała o wszystkim klucznicy; jednakże od tej chwili poczuła wielką sympatię dla tego dziwnego dziewczątka, które miało twarzyczkę tak rozumną i było tak uprzejme. Mariette dotychczas miewała do czynienia z dziećmi, które bynajmniej nie odnosiły się do niej grzecznie; przeto teraz z zachwytem zwierzała się klucznicy, jak to Sara przemawia do niej: „bądź łaskawa, Marietko”, „dziękuję ci, Marietko” – traktując ją zupełnie niby jaką dystygowaną damę.

– *Elle a l'air d'une princesse, cette petite!*⁹ – zakończyła, wielce zadowolona z nowej pani i nowego miejsca.

Gdy Sara przesiedziała już parę minut w swej ławce, oglądała z zaciekawieniem przez koleżanki, nagle nad katedrą ukazała się miss Minchin.

– Moje dziewczynki! – przemówiła z dziwnie dostojnym wyrazem oblicza. – Pragnę wam przedstawić nową koleżankę. – Wszystkie uczennice powstały, a Sara poszła za ich przykładem. – Spodziewam się, że będziecie dobre i uprzejme dla panny Crewe, która przybyła do was z bardzo daleka, bo aż z Indii. Zaraz po ukończeniu lekcji повинныście się z nią zaznajomić.

Uczennice ukloniły się ceremonialnie, a Sara odwzajemniła się im ukłonem, po czym usiadły i znów zaczęły się sobie przyglądać.

– Saro – odezwała się miss Minchin tonem, jakiego używała w szkole. – Chodź tu do mnie.

Wyjęła z pulpitu jakąś książkę i zaczęła przewracać stronicę. Sara podeszła grzecznie ku katedrze.

– Ponieważ twój tatuś zgodził Francuzkę na pokojówkę dla ciebie – odezwała się miss Minchin – przypuszczam, że życzył sobie, byś szczególnie przyłożyła się do nauki języka francuskiego.

8 *Comme elle est drôle!* (franc.) – Jaka ona zabawna!

9 *Elle a l'air d'une princesse, cette petite* – Ona zachowuje się jak księżniczka, ta mała!

Sara poczuła się trochę nieswojo.

– Ja myślałam – odpowiedziała – że tatuś dlatego ją zgodził, że... że myślał, iż ja ją polubię, proszę pani.

– Mam pewne obawy – odezwała się miss Minchin, uśmiechając się cierpkawo – że jesteś dziewczynką bardzo rozpieszczoną, która sobie wyobraża, iż wszystko czyni się tylko dla dogodzenia jej upodobaniom. Ja jestem zdania, że twój tatuś sobie życzył, żebyś wzięła się do nauki francuskiego.

Gdyby Sara była nieco starsza lub mniej skrupulatna na punkcie grzeczności wobec innych, potrafiłaby wyjaśnić w kilku słowach całą sprawę; tymczasem jednak nie zdobyła się ani na jedno słówko – i tylko gorący rumieniec oblał jej policzki. Miss Minchin była osobą bardzo stanowczą i bezwzględną, a przy tym tak głęboko przekonaną o tym, jakoby Sara nie miała pojęcia o francuszczyźnie, iż wszelkie wyprowadzanie jej z błędu mogło się wydawać niemal niegrzecznością.

W istocie jednak język francuski był Sarze znany niemal od kolebki. Jej matka była Francuzką, a kapitan Crewe przez pamięć ukochanej żony, którą stracił tak wcześnie, rozmawiał często w tym języku w obecności córki, a nawet z nią samą – jeszcze gdy była małym pędrakiem...

– Ja nigdy nie uczyłam się naprawdę francuskiego, ale... ale... – zaczęła, chcąc się wytłumaczyć.

Jednym z najpoważniejszych strapień miss Minchin była nieumiejętność mówienia po francusku. Fakt ten, który ją bolał dotkliwie, usiłowała zataić przed ludźmi, nie miała więc ochoty wdawać się w dyskusję z nowicjuszką i narażać się na jej niedyskretne zapytania.

– To wystarczy – odpowiedziała z kwaśną uprzejmością. – Skoro się nie uczyłaś, musisz niezwłocznie przystąpić do nauki. Za parę minut przyjdzie nauczyciel francuskiego, monsieur Dufarge. Weź tę książkę i rozejrzyj się w niej, zanim pan profesor nadejdzie.

Sara, cała w pąsach, wróciła do swej ławki i otworzyła książkę. Spojrzawszy na pierwszą stronicę, starała się zachować poważny wyraz twarzy. Wiedziała, że niegrzecznością byłoby uśmiechać się – a postanowiła sobie święcie, że nie okaże się niegrzeczną; w każdym

razie bawiło ją to w duchu, że kazano jej uczyć się, że *le père* oznacza ojca, a *la mère* – matkę.

Miss Minchin spojrzała na nią badawczo.

– Widzę, Saro, że wodzisz oczyma po klasie, zamiast patrzeć w książkę. Szkoda, że nie okazujesz zapału do języka francuskiego.

– Język ten bardzo mi się podoba – odpowiedziała Sara, próbując znów zabrać głos – ale...

– Nie powinnaś mówić „ale”, gdy ci coś rozkazują przełożeni. Patrz w książkę.

Sara wlepiła wzrok w książkę – ale już ani się nie uśmiechnęła, nawet wtedy, gdy wyczytała, że *le fils* oznacza syna, a *le frère* – brata.

„Gdy przyjdzie monsieur Dufarge – myślała – już ja mu wszystko wytłumaczę”.

Niebawem nadszedł monsieur Dufarge, miły, inteligentny Francuz w średnim wieku. Ujrzawszy Sarę, niby to pogrążoną w lekturze rozmówek francuskich, zainteresował się tym jej skupieniem i grzecznością.

– Czy to nowa uczennica dla mnie, Madame? – zapytał przełożonej. – Sądzę, że będę miał z niej pociechę.

– Jej ojciec, kapitan Crewe, bardzo pragnie, by rozpoczęła naukę języka francuskiego. Boję się jednak, że ona ma do francuszczyzny jakieś dziecinne uprzedzenia... bo nie bardzo się garnie do nauki – odpowiedziała miss Minchin.

– Wielka szkoda, mademoiselle – odezwał się monsieur Dufarge uprzejmie do Sary. – Może, gdy zaczniemy razem się uczyć, potrafię panią przekonać, że jest to język bardzo piękny.

Sara powstała. Czuła się tak zrozpaczona, jak gdyby popadła w niełaskę. Rozwarłszy szeroko swe zielone oczka, spojrzała nimi szczerze i prostodusznie w twarz monsieur Dufarge’a; wyczytała w niej, że on pojmie, o co chodzi i po prostu zaczęła w dźwięcznej płynnej francuszczyźnie tłumaczyć mu rzecz całą. Zwierzyła się więc, że madame nie rozumiała jej intencji; prawdą jest, że nie uczyła się francuskiego na lekcjach i z książek, ale tatuś i inni ludzie często mówili do niej tym językiem, tak iż umiała nim mówić i pisać – jak

rodowitą swą mową. Był to przecież rodzinny język jej matki, która umarła po jej urodzeniu; dlatego to i tatuś – i ona za jego przykładem – lubili się nim posługiwać.

W końcu Sara zapewniła monsieur Dufarge'a, że bardzo chętnie będzie się uczyła wszystkiego, czego on zechce ją uczyć, a jeżeli zabierała głos wobec przełożonej, to jedynie w tym celu, by jej wyjaśnić, iż wszystkie słówka w podręczniku zna już od dawna.

W chwili, gdy Sara zaczęła mówić, miss Minchin drgnęła i jęła niemal z oburzeniem wpatrywać się spod okularów w uczennicę. Monsieur Dufarge uśmiechał się z wielkim zadowoleniem, słysząc w ustach tego dziecka czysty i uroczy dźwięk ojczystej swej mowy, który myśl jego przeniósł hen do kraju lat młodzieńczych – z dala od ciemnego, mglistego Londynu. Gdy Sara skończyła mówić, spojrzał na nią z rozczuleniem i odebrawszy od niej podręcznik, odezwał się do miss Minchin:

– Ach, madame, toż ja niewiele już ją mogę nauczyć! Ona się nie uczyła francuskiego, ale mówi jak rodowita Francuzka. Akcent ma wyborny.

– Powinnaś była mi to powiedzieć – zawołała miss Minchin, mocno urażona.

– Ja... ja chciałam... – odpowiedziała Sara – ale zdaje mi się, że zaczęłam niewłaściwie.

Miss Minchin zdawała sobie dobrze sprawę, że zawiniła, nie dając dojść do słowa dziewczynce. Gdy więc spostrzegła, że inne dziewczęta przysłuchiwały się całej scenie, a Lawinia i Jessie chichocą za książką, wpadła w wielki gniew.

– Cicho, panienki! – odezwała się surowym głosem, stukając w pulpit. – Cicho mi zaraz!

Od tej chwili poczuła wielką niechęć do swej wzorowej uczennicy.

Ermengarda

Gdy pierwszego dnia lekcji Sara siedziała koło miss Minchin, obserwowana pilnie przez wszystkie koleżanki, zauważyła pomiędzy nimi małą dziewczynkę, mniej więcej w tym samym wieku, która wpatrywała się w nią uporczywie dwojgiem jasnoblękitnych, nieco tępawych oczu. Była to tłusta dziecina, bynajmniej nie wyglądająca na zbyt mądrą, o buzi nadąsanej, ale pocziwej. Jej lniane włosy splecione były w gęsty warkocz; koniec jego przerzuciła sobie przez ramię i gryzła wstążkę, a podparłszy się łokciami o pulpit, przyglądała się z podziwem nowicjusze.

Gdy monsieur¹⁰ Dufarge zaczął przemawiać do Sary, na twarzy tłuszcioszki odmalowało się lekkie przerażenie; gdy zaś Sara, wpatrzywszy się w nauczyciela dziecięcymi, szczerymi oczkami, odpowiedziała mu po francusku, aż podskoczyła na ławce i poczerwieniała od lęklivego zdumienia. Ponieważ sama wiele łez wylała, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zapamiętać, że *la mère* oznacza matkę, a *le père* – ojca, przeto nie chciało się jej w główce pomieścić, że jakieś dziecko, równe jej wiekiem, zna nie tylko te dwa wyrazy, ale i mnóstwo innych, które potrafi wiązać z sobą w całe zdania bez najmniejszego wysiłku.

Tak wytrzeszczała oczy i tak mocno przygryzała wstążkę warkocza, że ściągnęła na siebie uwagę – a co za tym idzie – i gniew miss Minchin.

10 monsieur (franc.) – pan.

– Panno St. John! – upomniwała ją surowo przełożona. – Cóż to za zachowanie? Zdejm łokcie z pulpitu! Wyjmij z ust wstążkę! Siadaj mi zaraz porządnie!

Dziewczynka znów poderwała się z ławki, gdy zaś Lawinia i Jessie poczęły chichotać, zaczerwieniła się jeszcze bardziej – a w jej biednych, dziecięcych i tępowych oczkach poczęły gromadzić się łezki. Sara, ujrawszy to, poczuła naraz wielką sympatię dla swej rówieśniczki i zapragnęła być jej przyjaciółką.

– Gdyby Sara była chłopakiem i żyła kilkaset lat temu – mawiał o niej ojciec – na pewno by jeździła z dobytym mieczem po kraju, broniąc i ratując uciśnionych. Ona nie może patrzeć spokojnie na ludzki smutek i krzywdę.

Dlatego to Sara upodobała sobie małą, grubą St. John i przez całe przedpołudnie wciąż spoglądała w jej stronę. Zmiarkowała od razu, że tej dziewczynce z trudnością przychodzą lekcje i że daleko jej do tego, by miano ją uważać za celującą. Szczególnie lekcja francuskiego była dla niej udręką. Jej wymowa wywoływała mimowolny uśmiech nawet na dobrotliwej twarzy pana Dufarge, a Lawinia, Jessie i inne zdolniejsze uczennice pozwalały sobie wręcz na śmiechy i drwinki. Ale Sara nie śmiała się bynajmniej, owszem przybierała taką minę, jak gdyby nie słyszała, że panna St. John przekręca *le bon pain*¹¹ na *libonpan*. Zachowanie się koleżanek przejmowało ją oburzeniem.

– Z czegoż one się śmieją!? – szepnęła przez zęby, schyliwszy się nad książką. – Przecież w tym nie ma nic śmiesznego!

Po lekcjach uczennice zebrały się gromadkami i poczęły gawędzić. Sara odszukała pannę St. John, siedzącą smutno na parapecie okna, podeszła do niej i zapytała:

– Jak się nazywasz?

Od tego pytania małe dziewczynki zaczynają wszelką znajomość, jednakże w słowach Sary był ton szczególny, uderzający ludzi swą serdecznością i uprzejmością.

11 *le bon pain* (franc.) – dobry chleb.

By zrozumieć zdumienie panny St. John, należy sobie przypomnieć, że każda nowa uczennica jest przez czas pewien jakąś nieokreśloną istotą dla swych koleżanek; o żadnej zaś chyba nowicjuszcze nie opowiadano w całej szkole tylu dziwnych – często sprzecznych z sobą – historii, co o Sarze. Gawędy te przeciągnęły się aż do późnej nocy. Koleżanka, która miała wózek, kucyka i służącą, a przybyła aż z dalekich Indii – była to znajomość nie lada.

– Nazywam się Ermengarda St. John – odpowiedziała dziewczynka.

– A ja się nazywam Sara Crewe – przedstawiła się Sara. – Masz bardzo ładne nazwisko... zupełnie jak z jakiejś powieści.

– Podoba ci się? – zawstydziła się Ermengarda. – A mnie... mnie podoba się twoje nazwisko.

Największym strapieniem, ba, klęską, w życiu Ermengardy St. John było to, że miała ojca uczonego, który umiał wszystko: mówił siedmioma czy ośmioma językami, a w swej bibliotece posiadał tysiące tomów, których treść znał niewątpliwie na wylot. Człowiek taki zwykł żądać od swego dziecka, by było obeznane przynajmniej z treścią podręczników szkolnych, a w każdym razie sądził, że powinno pamiętać parę zdarzeń z historii i umieć napisać wypracowanie francuskie. Toteż pan St. John nie mógł zrozumieć, czemu jego córka – zamiast odznaczać się w nauce – okazuje we wszystkim stałą i niewątpliwą tępotę.

– Jak mi życie miłe! – powtarzał nieraz, przyglądając się jej uważnie. – Niekiedy mam wrażenie, że to dziecko jest tak mało rozwinięte, jak jej ciotka Eliza!

Jeżeli owa ciotka Eliza słynęła z tego, iż uczyła się każdej rzeczy z wielkim mozolem, by niebawem zapomnieć o niej doszczętnie, to Ermengarda była uderzająco do niej podobna, toteż opinia powszechna uważała ją za najslabszą uczennicę w całej szkole.

– Trzeba ją zmuszać do nauki – powiadał jej ojciec do miss Minchin. Rezultatem tych słów było, że Ermengarda większą część swego życia wiodła w placzu lub strapieniu. Uczyła się różnych rzeczy – i natychmiast je zapominała, a jeżeli nawet zdołała zapamiętać, to nie

rozumiała ich wcale. Nic więc dziwnego, że poznawszy Sarę, wpatrywała się w nią oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

– Ty... umiesz mówić po francusku? – zapytała tonem pełnym bezmiernego szacunku.

Sara podeszła ku głębokiej i szerokiej wnęcie okiennej i usiadła na niej po turecku, obejmując kolano splecionymi dłońmi.

– Umiem... bo język ten słyszałam wciąż od urodzenia – odpowiedziała. – Ty byś też umiała nim mówić, gdybyś go stale słyszała w domu.

– O, nie – wzdrygnęła się Ermengarda. – Ja bym nigdy nie potrafiła nim mówić!

– Czemu? – zapytała Sara z ciekawością.

Ermengarda wstrząsnęła głową, aż jej się warkoczyk zakołysał.

– Przecież słyszałaś mnie podczas lekcji – odpowiedziała. – Ja zawsze jestem taka. Nie umiem wymawiać słów francuskich... takie są dziwaczne...

Milczała przez chwilę, po czym zapytała z lękiem w głosie:

– Czy ty jesteś mądra?

Sara wyjrzała przez okno na posępny plac, gdzie na zmokłych poręczach balkonów i czarnych od dymu gałęziach drzew skakały świergotliwe wróble. Zastanowiło ją pytanie koleżanki.

Już dawniejszymi czasy nieraz Sara słyszała w odniesieniu do siebie przydomek mądrej; pragnęła wiedzieć, czy istotnie na niego zasługuje – i czemu by tę mądrość przypisać należało.

– Nie wiem – odezwała się. – Nie umiem ci na to odpowiedzieć.

Widząc smutek na okrągłej, pucioławatej twarzyczce towarzyszki, zaśmiała się z lekka i zmieniła temat rozmowy.

– Czy chciałabyś zobaczyć Emilkę?

– Któż to jest ta Emilka? – zapytała Ermengarda tym samym tonem, jakiego poprzednio użyła miss Minchin.

– Chodź do mojego pokoju, to zobaczysz – odpowiedziała Sara, wyciągając rękę.

Zeskoczyły z parapetu okna i poszły razem na górę.

– Czy to prawda – szeptała Ermengarda, gdy przechodziły przez korytarz – czy to prawda, że masz dla siebie osobny pokój do zabawy?

– Tak – odpowiedziała Sara. – Tatuś prosił miss Minchin o pokój osobny dla mnie, bo... bo gdy się bawię, to sobie układam i opowiadam różne powiastki... a nie lubię, by mnie podsłuchiowano... to psuje mi zabawę.

Ermengarda stanęła jak wryta, wytrzeszczywszy oczy i ledwie śmiejąc oddychać.

– Ty układasz powiastki! – westchnęła. – Czy ty to umiesz... tak jak mówić po francusku...?

Sara spojrzała na nią, szczerze zdumiona.

– Przecież układanie powiastek to nic trudnego... Czy nigdy nie próbowałaś tego robić?

Ujęła ostrzegawczo dłoń Ermengardy.

– Podejdźmy cichutko do drzwi – szepnęła – a potem ja nagle je otworzę. Może uda się nam ją przyłapać.

Na jej twarzyczce igrał uśmiech, ale w oczach lśnił promyk tajemniczej ufności, który dziwnie podziałał na Ermengardę, mimo że nie miała najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy ani też nie wiedziała, kogo i dla jakiej przyczyny zamierzała Sara przyłapać. W każdym razie kryła się w tym niewątpliwie jakaś wspaniała i intrygująca niespodzianka, toteż Ermengarda drżała w napięciu oczekiwania, idąc na paluszkach za Sarą przez korytarz. Tak bez szelestu dotarły aż do samych drzwi. Wówczas Sara nagle nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież. Oczom przybyłych ukazał się pokój najzupełniej cichy i spokojny, w którym wszystko było na właściwym miejscu. Obok kominka, na którym łagodnie tlił się ogień, siedziała na krzeselku prześliczna lalka, niby to zaczytana w leżącej przed nią książce.

– Oho! Już wróciła na krzeselko, zanim zdążyłyśmy ją podpatrzyć! – zawołała Sara. – One tak zawsze robią! Potrafią przebiec przez pokój prędko jak błyskawica.

Ermengarda jęła patrzeć to na nią, to na lalkę.

– Czy ona umie... chodzić? – zapytała stłumionym głosem.

– Tak – odpowiedziała Sara. – Ja w to wierzę... przynajmniej udaję, że wierzę... a przez to wydaje mi się, że to wszystko jest prawdą. Czy ty nigdy nie udawała niczego?

– Nie!... Nigdy! – odparła Ermengarda. – Wy tłumacz mi to wszystko.

Tak była oszołomiona tą nową, dziwną znajomością, że patrzyła wciąż na Sarę, zamiast na Emilkę – mimo że Emilka była najpiękniejszą lalką, jaką zdarzyło się jej widzieć.

– Siadź, to ci opowiem – rzekła Sara. – Jest to rzecz tak łatwa i przyjemna, że gdy ją rozpoczniesz, nie potrafisz się jej wyrzec, tylko będziesz wciąż do niej wracała. Emilko i ty posłuchaj. Oto jest panna Ermengarda St. John. Ermengardo, oto Emilka. Czy chciałabyś wziąć ją na ręce?

– Ach, to mi wolno ją wziąć na ręce? – zawołała Ermengarda. – Wolno mi naprawdę? Jakaż ona piękna!

Z lalką w objęciach Ermengarda spędziła jedną z najpiękniejszych godzin swego krótkiego żywota, słuchając przedziwnych opowieści swej towarzyszki, póki nie odezwał się dzwonek wzywający na obiad. Sara przysiadła w kucki na dywanie przed kominkiem, a jej zielone, duże oczy i nabiegłe rumieńcem policzki pały żywo. Opowiadała i o Indiach i o przebytej podróży – największe jednak wrażenie na słuchającej uczyniła zmyślona opowieść o lalkach, które chodzą, rozmawiają i robią, co im się żywnie podoba, póki ludzi nie ma w pokoju, a z ich nadejściem zmykają błyskawicznie na swe dawne miejsce, nie chcąc zdradzić przed nikim, co umieją.

– My byśmy tego nie potrafiły – dodała Sara. – To sztuczka czar-noksiężka!

Gdy Sara opowiadała o poszukiwaniach, mających na celu znalezienie Emilki, Ermengarda zauważyła nagłą zmianę w jej twarzy – jakąś jakby chmurę, która przemknęła nad jej brwiami, gasząc blask promieniejących oczu. I głos Sary się zmienił – brzmiał cicho i smutnie; stłumiła oddech, a potem zacisnęła mocno wargi, jak gdyby powzięła nagle jakąś stanowczą decyzję. Inna dziewczynka na jej miejscu na pewno wybuchnęłaby w tej chwili gwałtownym płaczem

i szlochaniem; Sara jednak – ku zdziwieniu Ermengardy – umiała się od tego powstrzymać.

– Czy ciebie... coś boli? – odważyła się zapytać Ermengarda.

– Tak – odpowiedziała Sara po chwili milczenia. – Ale to nie jest ból cielesny.

Po chwili zapytała głosem cichym, któremu starała się nadać spokojny ton:

– Czy i ty kochasz swojego tatusia nad wszystko w świecie?

Ermengarda otworzyła usta w zdumieniu. Wiedziała, iż z zachowaniem się uczennicy wzorowej pensji nie licuje oświadczenie, że nie przyszło jej nigdy na myśl, by można było kochać ojca i nie unikać bytności z nim sam na sam choćby przez dziesięć minut. Była naprawdę wielce zakłopotana.

– Ja... ja prawie go nie widuję – wyjąkała. – On wciąż tylko siedzi w bibliotece... i czyta różne książki.

– Ja kocham mego tatusia ponad wszystko w świecie – oświadczyła Sara. – I to mnie właśnie boli, że tatuś odjechał.

Złożyła główkę na podwiniętych kolanach i siedziała cicho przez kilka minut.

„Zaraz się rozplacze” – pomyślała Ermengarda.

Ale Sara nie rozplakała się. Siedziała spokojnie, a krótkie, czarne włosy rozsypały się jej dookoła uszu. Naraz przemówiła, nie podnosząc główki:

– Obiecałam mu, że zniosę to cierpliwie... i dotrzymam przyrzeczenia. W życiu trzeba dużo znosić. Pomyśl sobie, ile muszą znosić żołnierze! Mój tatuś jest żołnierzem. Gdyby wybuchła wojna, musiałby odbywać uciążliwe marsze, cierpieć pragnienie, może nawet odnieśćby ciężką ranę... i nie powiedziałby ani słowa.

Ermengarda nic nie mówiła, tylko wlepiała w nią szeroko otwarte oczy, ale w duszy poczuła dla niej ogromny szacunek i uwielbienie; tak dziwnej i niezwyklej koleżanki nie zdarzyło się jej widzieć nigdy w życiu.

Nagle Sara spojrzała w górę, uśmiechnęła się dziwnie i wstrząsnąwszy czarnymi loczkami odezwała się:

– Gdy będę tak wciąż gwarzyła z tobą i opowiadała ci różne zmyślane historie, to mi tu jakoś łatwiej będzie przeżyć tę rozłąkę. Ty też pewno nie zapomnisz o domu... ale łatwiej będzie ci znosić to wszystko...

Ermengarda poczuła, że gardło ścisnęło się jej nie wiedzieć czemu, a w oczach jakby pojawiły się łezki.

– Lawinia i Jessie są najserdeczniejszymi przyjaciółkami – odpowiedziała ochryłym głosem. – Bardzo bym chciała być dla ciebie taką serdeczną przyjaciółką. Czy chcesz mnie za nią uważać? Ty jesteś bardzo mądra, a ja jestem najgłupszą uczennicą w szkole... ale... ale ja ciebie tak kocham!

– Bardzo się z tego cieszę – zapewniła ją Sara. – Tak, będziemy przyjaciółkami. I wiesz co? – Tu nagle promyk radości rozjaśnił jej buzię. – Będę ci pomagała w odrabianiu lekcji francuskiego.